

bezdennej. Przed nami wznosiła się niemal prostopadła skalista ściana.

Bezwidnie i mimowoli ulegałem dziwnie przykreemu urokowi, który jak magnes wzrok mój przyciągał, zwracając go w stronę przepaści. Lecz Piotr, kroczący przedemną, powtarzał ciągle: „Odważnie!” a głos Pawła z tyłu powtarzał za nim „odważnie!” więc cały drgający, zdyszany, niemal omdlewający, rozdierając sobie dłonie, którymi jak najsilniej ścisnąłem łańcuchy, oświadczyłem przez straszny rozstrój nerwów, o muszkulach wyprężonych do ostatecznych granic, wdzierając się... gramoliłem... wdrapywałem wyżej i wyżej... aż nareszcie nadludzkim niemal wysiłkiem wskoczyłem na stromy brzeg szczytowej skały, poczem podbiegłem, chwiejąc się, kilka kroków naprzód... i w chwili, gdy przewodnicy moi rzucali się na kolana i wznosząc ręce w górę wołali: *Saadoo! Saadoo!* — padłem wyczerpany pod stopniami ołtarza Buddy!

Gdy odzyskałem zmysły, ujrzałem nad sobą ołtarz, wzniesiony na szczupłym tarasie i otoczony niskim murem z kamienia. O jakie dwa lub trzy metry dalej stał niewielki szalas, służący za schronienie dla straż pełniących kapłanów. Wokoło otaczała nas nieskończoność bezkresnego nieba.

Już z pobliskich cieni wyzierała jutrzienka; już jej nagle światelko zamigotało na wschodzie, a po niem przecinające szafir dwie pręgi czerwone zapowiedziały ukazanie się słońca.

Kapłani witali wcześniej przybyłych pielgrzymów.

Paweł podprowadził mnie na brzeg skały i wskazał pochodnie dążących tu nowych wędrowców. Wydawały się drobnymi iskierkami, rozsypkami na zboczu góry.

Pielgrzymi, którzy się tu zjawili przed nami, przyodziani w rytualne, cienkie, białe szaty, drżeli od zimna, ranek bowiem, na tej wysokości, przejmował przykrym chłodem.

Po chwili nuta świętej pieśni, spiewanej niżej, wzniosła się aż do nas, płynąc swobodnie w czystym powietrzu. Scichła na moment, poczem znów silniej zabrzmiała. Niebo zbladło niemal zupełnie. Spiew rozbrzmiewał już teraz w pobliżu szczytu. Wkrótce potem ukazał się pierwszy pielgrzym. Zgasił pochodnię i oddając cześć świętemu miejscu, pochylił głowę. Inni, przychodzący po nim, czynili to samo. Taras zapełnił się pobożnymi, zwracającymi wzrok ku wschodowi, gdzie coraz pełniejszy snop lśniących promieni rzucał na turkusowy błękit złote blaski.

Nagle zajaśniało słońce!

Gdy świetlane koło dosięgło widnokręgu, wszystkie głowy pochyliły się na znak adoracji; wszystkie ręce i ramiona wyciągały się jakby na powitanie; wszystkie głosy, drżące od wzruszenia, zawołały: *Saadoo! Saadoo!* Nawet ja, jedyny tu obecny Europejczyk, porwany gorącą żarliwością tłumu, pochyliłem głowę i wyłożyłem przed siebie błagalne dłonie.

Gdy słońce wzbilo się wysoko, a ostatni pielgrzym z okrzykiem *Saadoo* szczyt opuszczał i ja wezwałem Piotra i Pawła do powrotu, zwłaszcza, że boląca noga zaczęła mi dokuczać straszliwie. Zaledwie zrobiliśmy parę kroków, zrozumiałem, że zejście będzie wcale nie łatwe i pełne niebezpieczeństw, lecz przewodnicy zapewnili mnie o swej troskliwości, więc, nie namyślając się długo, pochwyciłem łańcuchy w dłonie.

Nie wiem i prawdopodobnie wiedzieć nie będę nigdy jak zeszedłem.

Pomimo dolegliwego cierpienia, które chwilami obezwładniało mnie zupełnie, znalazłem się po jakimś czasie u stóp śnieżnej ściany, przebytej nieledwie cudem. W tym miejscu w gaj rododendronów. Tutaj, nie bawienie moich przewodników, którzy, nie wiedząc, że oszalałem, pozostawili w gąszczu, a sami ze mną, ze jednak tylko w takiej odległości, że mogli mnie usłyszeć. Jak się z początku, twierdząc, że nie mam siły, uparłem się i postawiłem na swoim, że jednak tylko w takiej odległości, że mogli mnie usłyszeć. Jak się z początku, twierdząc, że nie mam siły, uparłem się i postawiłem na swoim, że jednak tylko w takiej odległości, że mogli mnie usłyszeć.

Koniec końców usłuchali mnie, ja zaś siadłem niby dla odpoczynku na ziemi i nie poruszyłem się do chwili, w której ich postacie, przyodziane w widne zdaleka suknie białe, nie znikły w gęstwie.

Gdy osądziłem, że znajdować się już muszę w przyzwoitej odległości, powstałem i ruszyłem za nimi, rachując kroki — chociaż to była rzecz wcale niepotrzebna, ojciec mój bowiem opisał drzewo tak dokładnie, że poznać je było łatwo. Zaledwie wyliczyłem pięćset, a już ujrzałem przed sobą jego potworne i dziwaczne kształty. Wokoło otaczały je olbrzymie rododendrony, pokryte szkarłatnym kwieciem, lecz niezwykle drzewo różniło się znacznie od wszystkich pokrewnych mu rodzajem. Należało, jak sądzę, do całkiem nieznanego mi gatunku. Korzenie miało w znacznej części odkryte i rozciągające się fantastycznie poplątanymi węzłami aż w poprzek ścieżki. Pień tworzyło siedm konarów, owiniętych zwojami pnących się roślin. Konary te łączyły się z sobą mniej więcej o cztery stopy wyżej, w miejscu, gdzie zaczynały się gałęzie, o liściach ciemnozielonych, niezmiernie gęstych. Samo drzewo, o ile

na lewo, lecz jakby do zejścia z góry, gdy prawdopodobnie trzeba było obrócić się tak, jakby się na nią wchodziło. O mało nie roześmiałem się, myśląc o mojej naiwności i skierowałem kroki w górę.

Nastawiłem igiełkę magnesową na kąt dziewięćdziesięciu stopni i zacząłem rachować na nowo. Serce biło mi w piersi gwałtownie, czułem, że drzę ze wzruszenia. Teraz łatwiej mi było utrzymać właściwy kierunek. Wprawdzie zarosła były może jeszcze gęstsze, lecz rododendrony nie zagrażały mi drogi. Tnąc na prawo i lewo przeróżne pnące, biczujące mi twarz, okręcające się koło bioder i łydek i zdzierające mi kapelusz z głowy, wymierzyłem z całą możliwą dokładnością trzydzieści dwa kroki, poczem się zatrzymałem.

Ujrzałem przed sobą niewielką przestrzeń, nie zarosniętą krzakami, wynoszącą może dwanaście stóp kwadratowych powierzchni, pokrytą trawą i zielonym o liściach miękkich jak aksamit, lecz nie było na niej ani śladu kamienia. Spojrzałem na prawo, potem na lewo, przeszedłem trawnik na ukos, tocząc wzrokiem wokoło, lecz nie dostrzegłem nic a nic z tego, czego szukałem.

Przejęła mnie dręcząca obawa, nasuwało się bowiem mimowoli przekonanie, że nadzieje moje nie mają realnej podstawy, a słowa ojca, wypisane na pergaminie, są może tylko bolesnym żartem. Gorycz i rozpacz zalały mi serce. Zachwiał się podemną kolana i grube krople potu wystąpiły na czoło. Starałem się otrząsnąć z przykrego wrażenia i rozpocząłem poszukiwania na nowo, jednakże wciąż jeszcze nadaremnie.

W rozrządzeniu prawdopodobnie niedość ściśle zbadałem wnętrze krzaków, otaczających mały trawnik, poczem się nań osunąłem bezwiednie i cały pograżyłem w rozpacz. Oto, myślałem, do czego doprowadziła mnie chciwość! Dla złudy opuściłem żonę i dziecko. Skarb, który od tak dawna migotał mi przed oczami, nie istnieje może! Waryatem byłem! Przeklinałem szal, który mnie opętał i godzinę, w której się urodziłem. Nigdy jeszcze nie pogardzałem sobą w tak wysokim stopniu; nigdy dotąd nie zdawałem sobie tak jasno sprawy, że brzydka żądza posiadania skarbu wżarła się w samą głębię mojej duszy. Tajemnica, odnosząca się do niego, jeśli istniała istotnie, jeśli wszystko to nie było kłamstwem i złudzeniem, pozostała nadal pod strażą wirchu.

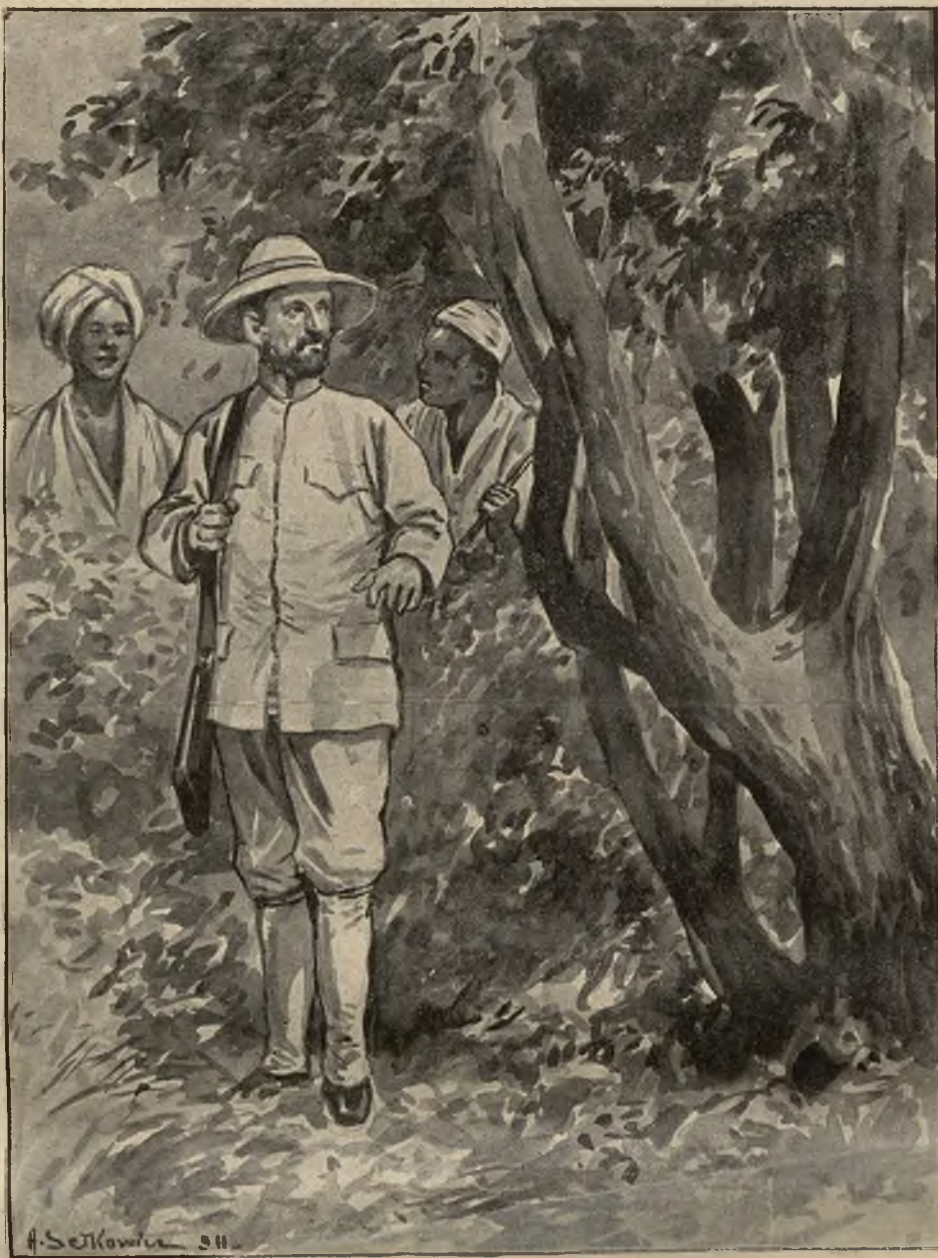
Plakałem prawie ze złości. Wściekłością uniesiony rozdrapywałem ziemię rękami. Omal nie targnąłem się na własne życie. Lecz po jakimś czasie wzburzenie wewnętrzne uśmierzało się we mnie powoli. Rozmyślać zacząłem, jaki przypadkiem pierwszy kierunek moich poszukiwań nie był lepszy. W każdym razie zamierzałem wyzyskać go raz jeszcze. Informacje, wskazane przez pergamin, były ścisłe. Drzewo o siedmio-konarowym pniu było poniekąd ich potwierdzeniem. Zresztą nie ulegało wątpliwości, że ten, który je nakreślił, zwiędził górę i znał ją wyborne. Przecież, gdyby kłamał, z kłamstwa swego nie mógł osiągnąć żadnej korzyści.

Wydobyłem manuskrypt i odczytałem go raz jeszcze. Poczem zerwałem się na równe nogi, ożywiony jakimś świeżym zapałem. Już miałem zejść z trawnika, aby powrócić na ścieżkę, gdy niespodzianie, a bezmyślnie spojrzałem na krzak, położony po mojej lewej ręce. Wydawało mi się, że ma kształt niezwykle. Wyglądał na dziwne nagromadzenie wijących się roślin, pokrytych szeroko-płatkowymi białymi kwiatami. Wznosił się zaś piramidalnie niemal na wysokość mojego wzrostu. Machinalnie wsunąłem weń kij, na którym tylko co się opierałem. Kij stuknął... o kamień!

Tak, o kamień!

W mgnieniu oka wydobyłem nóż z kieszeni i przykłęknąłem, tnąc i rozrywając gałązki. Niektóre z nich miały trzy cale grubości, lecz ciąłem je tak spiesźnie i zapamiętale, dysząc przytem jak miech kowalski i krwawiąc sobie dłonie, że wkrótce wierzchnia część kamienia ukazała się oczom moim. Serce waliło mi w piersiach głośnym tętnem.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Było to drzewo mego ojca.

mi się zdawało, liczyć mogło około sześćdziesięciu stóp wysokości.

Wyjawszy z kieszeni busolę, wyruszyłem z prawej strony wąskiej ścieżki pod kątem prostym od drzewa. Gąszcz przeszkadzał mi bardzo. Raz nawet musiałem okrążyć pień rododendrona, przekonany jednak byłem, że trzymam się wskazanego kierunku, więc po wyliczeniu trzydziestu dwu kroków... natknąłem się na pień drugiego rododendrona.

Pomyłka była widoczną. Ojciec mój pisał o kamieniu, mającym kształt głowy ludzkiej, nie zaś o rododendronie, zwłaszcza, że drzewo, do którego niemal na oślep dotarłem, nie różniło się niczem od innych je otaczających.

Rzuciłem okiem wokoło, ruszyłem kilka kroków na lewo, potem na prawo, obszedłem drzewo dookoła, zajrzałem pod najniższe jego gałęzie, czy nie kryje się coś pod nimi przy ziemi, poczem wrócić musiałem na ścieżkę, żeby na nowo rozpocząć wymierzanie przestrzeni.

Po kilku bezowocnych próbach, uczułem się niemal zupełnie zbity z tropu. Nagle błysła mi myśl, że zabieram się do rzeczy jak głupiec. Wszakże w rękopisie było wyraźnie: „pod kątem prostym, ku lewemu bokowi ścieżki”. Wprawdzie udałem się